

MAKSYM GORKI

Matka



Maksym Gorki

MATKA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68384-42-0

Projekt okładki: Ewa Hajduk

Przekład z rosyjskiego: Halina Górską

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Spis treści:

CZEŚĆ PIERWSZA

CZEŚĆ DRUGA

koniec tekstu

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Codziennie nad osadą robotniczą, w zadymionym, oleistym powietrzu, drzał i wyl przeciągły gwizd fabrycznej syreny. I posłuszni jej wezwaniu wybiegali z małych, szarych domków, niby wystraszone karaluchy, ponurzy ludzie nie zdążywszy orzeźwić snem zmęczonych mięśni. W chłodnym mroku szli po niewybrukowanej ulicy ku wysokim, kamiennym klatkom fabryki, a ona z obojętną pewnością siebie czekała na nich, oświetlając błotnistą drogę dziesiątkami zatłuszczonych, kwadratowych oczu. Błoto chlupotało pod nogami. Rozlegały się ochryple nawoływania sennych głosów, ordynarne przekleństwa przecinały powietrze. A na spotkanie ludzi płynęły inne dźwięki – ciężka, zdyszana krzątania maszyn, warczenie pary. Ponuro i surowo majaczyły wysokie, czarne kominy niby wzniesione nad osadą grube pałki.

Wieczorem, kiedy zachodziło słońce i na szybach domów ostatnim wysiłkiem zapalały się jego czerwone promienie, fabryka wyrzucała ludzi ze swego kamiennego wnętrza jak zużyty żużel. Szli znowu przez ulice zakopceni, z czarnymi twarzami rozprzestrzeniając lepki zapach smarów, błyskając zgłodniałymi zębami. W głosach ich dźwięczało teraz ożywienie, a nawet radość – na dzisiaj skończyła się katorga pracy, w domu czekała wieczerza i odpoczynek.

Dzień połykała fabryka – maszyny wysysały z ludzkich mięśni tyle sił, ile im było potrzeba. Dzień był bez śladu wymazany z ludzkiego życia, człowiek posunął się jeszcze o krok ku mogile. Ale widział przed sobą rozkosz odpoczynku, radość zadymionej karczmy i – był zadowolony.

W święta spali po dziesięć godzin, po czym ludzie stateczni i żonaci wkładali najlepsze ubrania i szli słuchać mszy łając po drodze młodzież za jej obojętność dla kościoła. Z cerkwi wracali do domu, jedli pierogi i znowu kładli się spać – do wieczora.

Zmęczenie, nagromadzone od lat, odbierało ludziom apetyt. Żeby móc jeść, pili dużo drażniąc żołądek palącą podniętą wódką.

Wieczorem spacerowali leniwie po ulicach. Kto miał kalosze, wkładał je, choćby nawet było sucho, a kto posiadał parasol, nosił go ze sobą, choćby nawet świeciło słońce.

Spotykając się ze sobą, mówili o fabryce, o maszynach, klęli majstrów – rozmawiali i myśleli tylko o tym, co było związane z pracą. Pojedyncze iskry nieudolnej i bezsilnej myśli ledwie migotały w nudnej jednostajności dni. Po powrocie do domu kłócili się z żonami i często bili je nie szczędząc pięści. Młodzież przesiadywała w karczmach, albo urządziła u siebie wieczorynki. Grano na harmonijkach, śpiewano sprośne i brzydkie piosenki, tańczono, opowiadano ordynarne dowcipy i pito. Wyczerpani pracą ludzie upijali się szybko, a wówczas budziło się w nich niezrozumiałe, chorobliwe rozdrażnienie. Rozdrażnienie to potrzebowało ujścia. I skwapliwie chwytając każdą sposobność wyładowania tego niepokojącego uczucia, ludzie rzucali się na siebie o byle głupstwo jak rozwścieczone zwierzęta. Wybuchały krwawe bójki, które kończyły się niekiedy ciężkim okaleczeniem, rzadziej – zabójstwem.

W stosunkach między ludźmi dominującym uczuciem była przyczajona złość. Była ona tak samo zastarzała jak nieuleczalne znużenie mięśni. Ludzie przychodzili już na świat z tą chorobą duszy dziedzicząc ją po ojcach, i towarzyszyła im ona jak czarny cień aż do grobu pobudzając ich w ciągu całego życia do szeregu postępów, odrażających w swoim bezcelowym okrucieństwie.

W święta młodzi zjawiali się w domu późną nocą w porwanej odzieży, w błocie i kurzu, z rozbitymi twarzami, ze złośliwą radością przechwalając się zadanymi towarzyszom razami, albo

skrzywdzeni i wściekli, we łzach poniżenia, pijani, budzący politowanie, nieszczęśliwi i wstrętli. Niekiedy chłopców do domu przyprowadzały matki albo ojcowie. Odszukiwali ich gdzieś pod płotem na ulicy i w karczmach, pijanych do nieprzytomności, klęli ohydnie, bili pięściami miękkie, zwiotczałe od wódki ciała swych dzieci, a potem bardziej lub mniej troskliwie układali do snu, żeby rankiem, kiedy poprzez powietrze popłynie ciemnym strumieniem gniewny ryk syreny, obudzić ich znowu do pracy.

Kleli swe dzieci i bili je, ale w istocie pijaństwo i bójki młodzieży wydawały się starszym zupełnie normalnym zjawiskiem – gdy ojcowie byli młodzi, pili także i bili się, i ich także bili ich ojcowie i matki. Życie zawsze było takie – równo i wolno płynęło mętным strumieniem, lata za latami. Krępował je nawyk myślenia i robienia zawsze tego samego, z dnia na dzień. I nikt nie odczuwał nawet chęci spróbowania, czy nie można by go zmienić.

Z rzadka do osady przychodzili skądś obcy ludzie. Z początku zwracali na siebie uwagę po prostu tym, że byli obcy, potem wzbudzali lekkie, powierzchowne zainteresowanie opowiadaniem o miejscach, gdzie pracowali, potem blask nowości ścierał się, przyzwyczajano się do nich, przestawano ich dostrzegać. Z ich opowiadań jedno wynikało jasno: życie robotnika jest wszędzie takie samo. A jeżeli tak – to o czym tu rozprawiać?

Czasami jednak niektórzy z nich mówili o czymś, o czym nigdy nie słyszano w osadzie. Nie sprzeczano się z nimi, ale słuchano ich dziwnych słów z niedowierzaniem. Słowa ich wywoływały u jednych ślepe rozdrażnienie, u innych niejasną obawę, a jeszcze innych niepokoił lekki cień nadziei czegoś niejasnego, i pili więcej, żeby odpędzić ten niepotrzebny, przeszkadzający im niepokój.

Zauważywszy w obcym coś niezwykłego, mieszkańcy osiedla długo nie mogli mu tego zapomnieć i odnosili się do człowieka niepodobnego do nich z nieświadomą obawą, jak gdyby lękali się, że człowiek ten może rzucić w ich życie coś, co naruszy jego posępnie jednostajny bieg, ciężki wprawdzie, ale spokojny. Ludzie przywykli, by życie gniotło ich zawsze z jednakową siłą i, nie oczekując jakichkolwiek zmian na lepsze, uważali, że każda zmiana może tylko zwiększyć ucisk.

Od ludzi, którzy mówili o czymś nowym, mieszkańcy osady odsuwali się w milczeniu. Wówczas ludzie ci znikali odchodząc gdzie indziej, a ci, którzy pozostawali w fabryce, żyli w odosobnieniu, jeśli nie potrafili zlać się w jedną całość z jednolitą masą mieszkańców osady...

Przeżywszy takim życiem lat pięćdziesiąt – człowiek umierał.

Rozdział 2

Tak też żył i ślusarz Michał Własow, włochaty, posępny, o małych oczkach, patrzących podejrzliwie spod krzaczastych brwi, i niedobrym uśmiechu.

Był najlepszym ślusarzem w fabryce i pierwszym siłaczem w osadzie, ale zarabiał mało, gdyż zachowywał się grubiańsko wobec przełożonych, nie było święta, żeby kogoś nie pobił. Nikt go nie lubił, bano się go. Próbowano bić i jego, ale nadaremnie. Kiedy Własow widział, że nacierają na niego, chwycił w rękę kamień, deskę, kawałek żelaza i, szeroko rozstawiając nogi, w milczeniu oczekiwał wrogów. Twarz jego, zarośnięta od oczu aż po szyję czarną brodą, i włochate ręce budziły we wszystkich strach. Najbardziej obawiano się jego oczu – małe, ostre, wwierały się w ludzi jak stalowe świderki, a każdy, kto spotykał się z ich spojrzeniem, czuł, że stoi przed dziką, pierwotną siłą, niedostępną dla: strachu, gotową bić bezlitośnie.

– No! Rozchodź się, swołocz! – mówił głucho. A poprzez gęste włosy na jego twarzy

błyskały duże, żółte zęby. Ludzie rozchodzili się, tchórzliwie odszczekując się przekleństwami.

– Swołocz! – rzucał za nimi krótko i oczy jego błyskały w ostrym jak szydło uśmiechu. Z głową wyzywająco podniesioną do góry szedł za nimi i wyzywał ich:

– No, kto chce śmierci?

Nikt nie chciał.

Własow mówił mało, a „swołocz“ było jego ulubionym słowem. Nazywał tym słowem zwierzchników w fabryce i policję, używał go także, gdy zwracał się do żony.

– Ty, swołocz, nie widzisz – portki porwane!

Kiedy Paweł, syn jego, skończył czternaście lat, Własowowi zachciało się jeszcze raz wytargać go za włosy. Ale Paweł wziął do rąk ciężki młotek i powiedział krótko:

– Nie rusz...

– Czego? – zapytał ojciec – i przysunął się groźnie do wysokiej i cienkiej postaci syna jak cień padający na brzozę.

– Dostyc! – powiedział Paweł. – Nie dam się więcej...

I zamierzył się młotkiem.

Ojciec popatrzył na niego, schował porośnięte włosy ręce za plecy i, uśmiechając się krzywo, powiedział:

– Dobrze..

Po czym, ciężko westchnąwszy, dorzucił:

– Ech, swołocz...

Niedługo potem oświadczył żonie:

– O pieniądze się do mnie nie zwracaj. Paweł cię wyżywi...

– A ty będziesz wszystko przepijał? – ośmieliła się zapytać..

– Nie twoja sprawa, swołocz! Kochankę sobie wezmę...

Kochanki nie wziął, ale od tego czasu, prawie ze dwa lata, aż do samej śmierci, nie dostrzegał syna i nie odzywał się do niego.

Własow miał psa, wielkiego i kudłatego jak on. Co dzień pies odprowadzał go do fabryki i co wieczora czekał na niego przed wrotami. W święta Własow chodził od karczmy do karczmy. Chodził w milczeniu, jakby chciał odnaleźć kogoś, i drapał twarze ludzi swym ostrym spojrzeniem. Pies cały dzień chodził za nim opuściwszy duży, wspaniały ogon. Do domu Własow wracał pijany, siadał do wieczerzy i karmił psa ze swojej miski. Psa nie bił, nie kłął go, ale i nie pieścił nigdy. Po wieczerzy, jeśli żona nie zdążyła sprzątnąć natychmiast ze stołu, zrzucał na podłogę naczynia, stawiał przed sobą butelkę wódki, opierał się plecami o ścianę i głuchym, budzącym śmiertelną nudę i smutek, głosem wył pieśń przymykając oczy i szeroko otwierając usta.

Zawodzące, brzydkie dźwięki płątały się w jego wąsach strząsając z nich okruszyny chleba. Ślusarz rozczesywał brodę i wąsy grubymi palcami i – śpiewał. Słowa pieśni były jakieś niezrozumiałe, przeciągłe, melodia przypominała zimowe wycie wilków. Śpiewał, póki w butelce była wódka, po czym zwał się bokiem na ławę albo opuszczał głowę na stół i spał, dopóki nie zbudziła go syrena. Pies leżał obok niego.

Umarł na przepuklinę. Pięć dni, cały poczerniały, rzucał się na posłaniu zacisnąwszy powieki, zgrzytając zębami. Niekiedy mówił do żony.

– Daj arseniku, otruj...

Doktor kazał Michałowi przykładac kompresy, ale po wiedział, że niezbędna jest operacja i chorego trzeba natychmiast zawieźć do szpitala.

– Idź do diabła! Sam umrę! Swołocz! – zachrypiał Michał.

A gdy doktor odszedł i żona ze łzami zaczęła go namawiać, by zgodził się na operację,

zaciśnął pięść i, pogroziwszy jej, oznajmił:

– Jak wyzdrowieję – tobie gorzej będzie!

Umarł rankiem, gdy syrena wzywała do pracy. W trumnie leżał z otwartymi ustami, ale brwi jego były gniewnie ściągnięte. Chowala go żona, syn, pies, stary pijanica i złodziej Daniło Wiesowszczyk, wydany z fabryki, i kilku miejscowych żebraków. Żona płakała cicho i mało, Paweł – nie płakał. Mieszkańcy osady spotykając na ulicy trumnę, zatrzymywali się, żegnali i mówili jeden do drugiego:

– Ale Pelagia rada być musi, że umarł! Ach! I jak rada!...

Niektórzy poprawiali:

– Nie umarł, ale – zdechł...

Kiedy zasypiano trumnę – ludzie odeszli. Pies został i, siedząc na świeżej ziemi, długo w milczeniu obwąchiwał mogiłę. Po kilku dniach ktoś go zabił...

Rozdział 3

W dwa tygodnie po śmierci ojca, w niedzielę, Paweł Własow przyszedł do domu pijany. Zataczając się, dowlóknął się do pokucia i huknąwszy pięścią w stół, jak to robił ojciec, krzyknął na matkę:

– Wieczera!

Matka podeszła do niego, usiadła obok i objawszy go przyciągnęła jego głowę do piersi. Paweł starał się ją odepchnąć, odsuwając ręką jej ramię, i krzyczał:

– Mamo – żywo!...

– Głuptasek z ciebie – smutno i łagodnie powiedziała matka przewyciężając jego opór.

– I – palić będę! Daj mi fajkę ojca... – z trudnością poruszając nieposłusznym językiem bełkotał Paweł.

Upił się po raz pierwszy. Wódka osłabiła jego ciało, ale nie zgasiła świadomości i w głowie jego kołatało pytanie:

– Pijany? Pijany?

Pieszczoty matki zawstydzaly go, a smutek w jej oczach wzruszał. Chciało mu się płakać i, żeby stłumić to pragnienie, udawał, że jest bardziej pijany niż był.

A matka gładziła ręką jego spocone, splątane włosy i mówiła cicho: ż

– Nie powinienes robić tego... nie trzeba...

Mdliło go. Po gwałtownym ataku wymiotów, matka ułożyła go na pościeli położywszy mu mokry ręcznik na bladym czole. Paweł otrzeźwiał trochę, ale wszystko pod nim i przed nim kołysało się niby na falach, powieki ciążyły mu, w ustach czuł wstrętny, gorzki smak. Patrzył przez rzęsy na dużą z bliska twarz matki i myślał bezładnie:

– Widać za wcześnie jeszcze dla mnie. Inni piją i – nie, a mnie mdli...

Skądś, jak gdyby z oddali, dochodził do niego miękki głos matki:

– Jakim żywicielem będziesz dla mnie, jeżeli zaczniesz pić?

Zamykając oczy, Paweł powiedział:

– Wszyscy piją...

Matka ciężko westchnęła. Miał słuszość. Wiedziała przecież sama, że nie ma oprócz karczmy miejsca, skąd ludzie mogą zaczerpnąć trochę radości. Mimo to powiedziała:

– A ty – nie pij! Za ciebie już ojciec wypił, ile trzeba. Dość już chyba mnie namęczył... Więc możebyś choć ty pożałował matki, co?

Słuchając tych łagodnych i smutnych słów, Paweł wspomniał, że za życia ojca matka była milcząca i niemal niedostrzegalna w domu i że żyła zawsze w trwożnym oczekiwaniu razów. Unikając spotkań z ojcem, mało bywał w ostatnich czasach w domu, odzwyczaiał się od matki i teraz trzeźwiejąc powoli, przypatrywał się jej z uwagą. Była wysoka, nieco przygarbiona. Ciało jej, zmęczone długimi latami pracy i mężowskim biciem, poruszało się bezszelestnie, cicho i jakby bokiem – jak gdyby bała się ciągle zaczepić o coś. Szeroką, owalną, nieco obrzękłą twarz, pociętą zmarszczkami, oświecały ciemne oczy, wylęknione i smutne jak u większości kobiet w osadzie. Nad prawą brwią bieliła się głęboka blizna, która podnosiła brew nieco ku górze, wydawało się, że i jej prawe ucho jest nieco wyższe niż lewe. Nadawało to jej twarzy taki wyraz, jakby zawsze nadśluchiwała lękliwie: W gęstych, ciemnych włosach błyszczały siwe pasma. W całej jej postaci było coś łagodnego, smutnego i pokornego...

Po policzkach jej wolno płynęły łzy.

– Nie płacz! – cicho poprosił syn. – Daj mi pić.

– Przyniosę ci wody z lodem.

Ale kiedy wróciła, już spał. Postąpiła nad nim chwilę, czerpak drżał w jej ręku, a lód cicho uderzał o blachę. Postawiła czerpak na stole i w milczeniu uklękła przed obrazami. O szyby okien uderzały odgłosy karczemnej zabawy. W mroku i wilgoci jesiennej wieczora piszczała harmonijka, ktoś głośno śpiewał, ktoś ordynarnie wymyślał. Lękliwie brzmiały rozdrażnione, zmęczone głosy kobiet...

Życie w małym domku Własowów popłynęło ciszej i spokojniej niż dawniej i nieco inaczej niż w całej osadzie. Dom stał na skraju osiedla u stoku niewielkiej, ale stromej pochyłości biegnącej ku błotom. Trzecią część domu zajmowała kuchnia i odgradzona od niej cienkim przepierzeniem maleńka izdebka, w której sypiała matka. Pozostałe dwie trzecie części – kwadratowa izba z dwoma oknami; w tylnej jej części – łóżko Pawła, w przedniej – stół i dwie ławki. Kilka krzeseł, komoda na bieliznę, na niej maleńkie lustro, skrzynia z odzieżą, zegar na ścianie i dwie ikony w kącie – oto wszystko.

Paweł zrobił wszystko, co powinien zrobić każdy młody człowiek: kupił harmonijkę, koszulę z nakrochmalonym gorse, jaskrawy krawat, kalosze i laseczkę, jak wszystkie wyrostki w jego wieku. Chodził na wieczorynki, nauczył się tańczyć kadryla i polkę i w święta wracał do domu podпиты, ale wódka zawsze bardzo mu szkodziła. Rankiem bolała go głowa, męczyła zgaga, twarz miał bladą i znudzoną.

Pewnego razu matka spytała go:

– No cóż, wesoło było wczoraj?

Paweł odpowiedział z ponurym rozdrażnieniem:

– Nuda, że wyc się chce! Już lepiej będę ryby łowił. Albo – kupię sobie strzelbę.

Pracował pilnie, bez spóźnień i kar, był milczący, ale jego błękitne, duże jak u matki oczy patrzyły z niezadowoleniem. Nie kupił sobie strzelby i nie łowił ryb, ale wyraźnie zaczął zbaczać z utartej drogi. Rzadziej uczęszczał na wieczorynki i chociaż w święta dokądś wychodził, wracał jednak trzeźwy. Matka, która obserwowała go pilnie, zauważyła, że smagła twarz syna zaostrza się, oczy patrzą coraz poważniej, usta zaciskają się dziwnie surowo. Jak gdyby w milczeniu gniewał się na coś albo jakby trawiła go choroba. Dawniej zachodzili do niego koledzy, teraz nie zastawali go w domu i przestali się zjawiać. Matce było przyjemnie, że syn jej staje się niepodobny do fabrycznej młodzieży, ale gdy zauważyła, że ze skupieniem i uporem wypływa gdzieś w bok z ciemnego potoku ich życia – w duszy jej obudziło się uczucie niejasnej obawy.

– Czy może jesteś chory, Pawełku? – zapytywała niekiedy.

– Nie. Jestem zdrow! – odpowiadał.

– Chudy jesteś bardzo – wzdychając mówiła matka.

Paweł zaczął przynosić książki i starał się czytać je niespostrzeżenie, a przeczytawszy, chował gdzieś. Niekiedy wypisywał coś z książek na karteczce i chował ją także...

Rozmawiali ze sobą mało i mało widywali się ze sobą. Rano Paweł w milczeniu pił herbatę i odchodził do pracy. W południe zjawiał się na obiad, przy stole zamieniali ze sobą kilka nic nie znaczących słów i Paweł znikał aż do wieczora. Wieczorem mył się starannie, jadł wieczerze, a potem długo czytał swoje książki. W święta wychodził z rana i wracał późną nocą. Matka wiedziała, że chodzi do miasta, że bywa w teatrze. Ale do niego z miasta nikt nie przychodził. Wydawało się jej, że z biegiem czasu syn mówi coraz mniej i jednocześnie zauważyła, że niekiedy używa nowych; niezrozumiałych dla niej słów, a grubiańskie i szorstkie wyrażenia, których zwykł był używać dawniej, znikają z jego mowy. I w zachowaniu jego pojawiło się także dużo szczegółów zwracających na siebie jej uwagę: porzucił dawną fircykowość, a natomiast zaczął troszczyć się bardziej o czystość ciała i odzieży, poruszał się swobodniej i zręczniejszo, stał się zewnętrznie jakby miękniejszy i prostszy, i wzbudzał w matce tkliwy szacunek. I w jego stosunku do matki było zresztą coś nowego: zamiatał niekiedy w izbie podłogę, w święta sam słał sobie łóżko i w ogóle starał się ulżyć jej w pracy. Nikt w osadzie tak nie postępował.

Pewnego razu Paweł przyniósł obraz i powiesił go na ścianie – troje ludzi rozmawiając szło dokądś lekko i śmiało.

– To zmartwychwstały Chrystus idzie do Emaus – objaśnił;

Matce spodobał się obraz, pomyślała jednak:

– Chrystusa czcisz, ale do cerkwi nie chodzisz...

Coraz więcej było książek na półce, którą zrobił Pawłowi kolega, stolarz. Pokój nabrał miłego wyglądu.

Paweł mówił matce „wy“ i nazywał ją „mamo“, ale niekiedy nagle zwracał się do niej czule:

– Matko, nie niepokój się, proszę, wrócę dziś późno do domu...

Matce podobało się to, czuła w jego słowach coś poważnego i mocnego.

Ale obawa rosła w niej. Nie stała się z biegiem czasu bardziej określona, ale coraz silniej niepokoiła serce przecuciem czegoś niezwykłego.

Czasem w matce budziło się nagle niezadowolenie z syna. Myślała:

– Wszyscy ludzie, jak ludzie, a on, jak mnich. Za surowy jak na swoje lata...

Czasem zastanawiała się:

– A może dziewczynę sobie znalazł?.

Ale na włóczenie się z dziewczętami trzeba pieniędzy, a Paweł oddawał jej prawie cały swój zarobek.

Tak upływały tygodnie, miesiące i niespostrzeżenie minęły dwa lata tego dziwnego, milczącego życia, pełnego nie jasnych myśli i obaw, które zwiększały się ciągle.

Rozdział 4

Pewnego razu, po wieczerzy, Paweł spuścił firankę w oknie, usiadł w kącie i zaczął czytać, powiesiwszy na ścianie nad swoją głową blaszaną lampę. Matka pomyślała naczynia, wyszła z kuchni i powoli zbliżyła się do niego. Paweł podniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

– To nie, Pawełku! Ja tylko tak... – powiedziała prędko i odeszła, z zakłopotaniem poruszając brwiami. Stała chwilę nieruchomo na środku kuchni, zamyślona i zafrasowana, umyła starannie ręce i znowu wróciła do syna.

– Chciałabym się ciebie spytać – powiedziała cichutko – co ty tak wciąż czytasz?

Paweł zamknął książkę.

– Uładź, mamó

Matka ciężko opuściła się na ławę, wyprostowała się i natężyła uwagę w oczekiwaniu czegoś doniosłego.

Nie patrząc na nią, nie głośno, ale nie wiadomo dlaczego bardzo surowo, Paweł przemówił:

– Czytam zakazane książki. Zabraniają ich czytać dlatego, że mówią prawdę o naszym robotniczym życiu... Książki te drukują się skrycie, w tajemnicy, i jeżeli je u mnie znajdą – wsadzą mnie do więzienia – do więzienia za to, że chcę poznać prawdę. Zrozumiałas?

Matce nagle zabrakło oddechu. Patrzyła na syna szeroko otwartymi oczyma i syn wydał się jej obcy. Miał inny głos – niższy, głębszy, dźwięczniejszy. Skubał palcami delikatny puszek wąsów i dziwnie, spode łba patrzył w kąt

Zrobiło się jej żal syna i złękła się o niego.

– A po cóż ty tak, Pawełku? – zapytała.

Paweł podniósł głowę, spojrzał na nią i nie podnosząc głosu, spokojnie odpowiedział:

– Chcę poznać prawdę.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI